

Rząd pruski a centrum.

Stanowisko katolickiego centrum wobec rządu określa "Koln. V." w następującym, uwagi godnym artykule. Organ katolików nadreńskich pisze:

Półrządowcy okazali dziwną cierpliwość w sprawie rozporządzenia ministra wyznań i oświaty, dotyczącego nauki religii w poznańskich szkołach; na większą część zarzutów nie reagowali wcale, wogóle rzadko kiedy byli tak powściągliwymi, jak w tym razie. Inaczej rzeczy się mają, gdy polityczna rozprawa obraca się koło przedmiotów, które rząd myśli traktować w drodze ustawodawczej. Przy projekcie co do floty, stała półrządowa straż bezustannie na stanowisku "que vive?" Wszelką zaczepkę odpierano żwawo i codziennie występowano z oskarżeniami przeciw opozycji. Cóż to tedy ma znaczyć, że w przypadku poznańskim używa się pluskiewi taktyki udawania martwoty? Czy może rząd tak jest pokojowo usposobiony, że chce unikać wszelkiej walki?

"Rzeczy mają się raczej odwrotnie. Wprawdzie nałożono półrządowcom kaganiec, ponieważ się nie chce dolewać oliwy do ognia, ale to się nie dzieje tak bardzo ze zmiłowania pokoju, ile dla tego, że rząd sobie powiada, iż przeciw przeprowadzi swoje wole i chciałby teraz, aby nad całą sprawą jak najprędzej porosła trawa. Spodziewają się, że krytyki ze strony prasy centrum umilkną wreszcie, gdy nie znajdą echa. Spokój, jaki w tym razie udaje świat półrządowcy, nie pochodzi więc bynajmniej z gorącego umiłowania pokoju, lecz jest zwrotem taktycznym. Na razie pozostanie też zapewne na poznańskiej widowni wojennej wszystko spokojnie, ale po kilku miesiącach, gdy się uiszy wzburzenie, zabrzmi hasło: "Ciąg dalszy nastąpi!" "Ale omylił się przez to wiele. Rząd trzeba atakować dopóty, dopóki nie przekona się, że metoda, mająca doprowadzić przez majestatyczne ignorowanie bez trudu do zwycięstwa, jest niewykonalna. Pan Studt, pocieszać się będzie tem, że prawda, że

nie potrzebuje placetu parlamentarnego dla swoich rozporządzeń administracyjnych, a postawie z centrum mogą nie istnieć dla niego ze swoją krytyką. Gdy go się zainterpeluje, natenczas powie, że rozporządzenie to uważa za odpowiednie i na tem koniec!

Tak wygląda rzecz na zewnątrz, ale w rzeczywistości nie jest ona dla rządu, ani tak pomyślną, ani tak prostą. Nasamprzód trzeba będzie skonstatować, czy pan Studt dla swoich usiłowań posiada też urzędową kartę procederową. Jeżeli tak jest, natenczas centrum będzie miało do stoczenia walkę wogóle nie z ministrem wyznań, tylko z naczelnikami rządu. Jeżeli ks. Hohenlohe i p. Miquel wysunęli naprzód ministra wyznań i oświaty, by nam wypowieć walkę, natenczas musiałby przeciw całej stosunek centrum do rządu być zmieniony z gruntu. Rząd zachowywał dotychczas zawsze tę praktykę, że w sejmie, gdzie może sobie dać radę bez centrum, traktował je dość chłodno, natomiast w parlamencie obchodzili przedstawicieli rządu szeregi centrum bezustannie z paczką karmelków w ręku. Ale my bynajmniej nie mamy ochoty przyjmować spokojnie policzka na lewą stronę, ponieważ ta sama dłoń głaska prawą stronę twarzy z miłością. Słowem: jeżeli rząd chce istotnie utrzymać pokojowy stosunek z centrum, natenczas będzie musiał postarać się o to, aby minister wyznań i oświaty postępował odpowiednio do tego.

Inaczej byłoby, gdyby minister wyznań i oświaty był, jako polityczny "francetireur" na własną rękę rozpoczął walkę. Ze czynna załoga półrządowej artylerii zachowywać się tak spokojnie, pochodzić może przecież po części stąd, iż w miejscach kierujących rządu braknie odpowiedniej sympatii dla wystąpienia ministra wyznań i oświaty. Jeżeli tak było, natenczas można by usunąć niepokój, jaki powstał w kołach katolickich i na nowo rozbudzoną nieufność wobec zamiarów rządu najlepiej przez to, że się jak najprędzej rzecz wyświeci publicznie. Prawo Kościoła do nauki religii, nie jest dla nas nauką doktorską, ani też pościąganiem na szachownicy politycznej, tylko jest bardzo

ważną sprawą sumienia, dla której gotowi jesteśmy każdej dnia podjąć na nowo walkę, jaką stoczyliśmy ongi przeciw ministrowi Falkowi. Milczeniem nie się nie robi; ani myśleć nie trzeba o tem, abyśmy mieli zostawić sprawę samej sobie, gdy p. Studt uważał się za uprawnionego do naruszenia jej, wydawszy rozporządzenie z pominięciem ks. arcypasterza. To, co on rozporządza w sprawie nauki religii z przyzwoleniem biskupów, moglibyśmy badać tylko pod względem praktyczności, a nie pod względem prawidłowości, ale skoro usiłuje, proklamując swoją wszechwładzę ministeryalną, odsuwać Kościół na bok, natenczas prowokuje on wszystkich katolików.

O zasadach organizacji banków emisyjnych.

Ponieważ od dłuższego czasu zwraca się najwięcej uwagi na te banki, które mają prawo wydawania banknotów, wypada zaznaczyć się bliżej ze zasadami organizacji tych banków, szczególnie ze względu na kwestyę, czy należy się oświadczyć za monopolem banknotowym, czy za wolnością emisyjną.

Wychodząc z faktycznego stanu rzeczy, należy z góry zaznaczyć, że w państwach europejskich panuje głównie monopol banknotowy, którego przewaga nad wolnością emisyjną banknotowej datuje się w pierwszym rzędzie od czasu publikacji angielskiego aktu bankowego z r. 1844. Aktem tym postanowiono, że bank, ani też bankier prywatny nie może uzyskać prawa emisyjnego banknotów, przyczem wychodzono ze założenia, że w istniejących dotąd bankach tej kategorii musi z biegiem czasu nastąpić redukcja sama przez się. Przypuszczenie to okazało się słuszne, gdyż liczba banków i bankierów wydających banknoty, wynosząca w r. 1844 jeszcze 279, spadła do roku 1890 na 110 i obniża się bez przerwy. We Francji zniósł rząd republikański jedynym zamachem wszystkie prywatne banki emisyjne, w Niemczech z niewoliło otwarcie banku państwowego w krótkim przeciągu czasu

dwadzieścia pięć banków do zaniechania emisji banknotowej, pozostałym zaś siedmiom wzbroniono raz na zawsze podwyższenia kontyngentu bankowego.

W Austrii i w Rosji nie ma nawet mowy o prywatnych bankach, imitujących banknoty, są one natomiast we Włoszech i w Szwajcarii. W pierwszym państwie była początkowo cała masa małych banków, wydających banknoty. Dopiero zlanie się banków genueńskiego i turyńskiego, spowodowało likwidację innych banków w północnych Włoszech, co również nastąpiło w średnich Włoszech z chwilą otwarcia banku toskańskiego i sycylijskiego. Prócz tych głównych banków emisyjnych istniały jeszcze dwa pomniejsze, tokański bank dla handlu i przemysłu i bank rzymski, ufundowany jeszcze za czasów świeckiej władzy papieskiej.

Wręcz skandaliczne prowadzenie interesów w banku rzymskim znieśli rząd do zniesienia tego banku, równocześnie zaś zarządzono zjednoczenie obydwoj banków tokańskich z bankiem narodowym, przynajmniej nowo stąd powstającemu bankowi, "Banca d'Italia", prawo emisji banknotów do maksymalnej granicy jednego miliarda lirów.

W Szwajcarii aż do roku 1830 trudnił się wydawaniem banknotów tylko prywatni bankierzy. Po r. 1830 zaczęły powstawać banki emisyjne, o charakterze wyłącznie lokalnym, dopiero w roku 1852 przyszedł do skutku pierwszy traktat wzajemności między bankiem zurychskim i bazylijskim. Z biegiem czasu przystąpiły do tego traktatu wszystkie inne banki emisyjne, których r. 1864 było już 21; bank zurychski, urządzony w sposób banku clearingowego.

Banki nie podlegały żadnemu nadzorowi ze strony rządowego rządu, projektowana zaś przez Radę związkową ustawa o przyznaniu związkowi narodowemu wyłącznego prawa wydawania przepisów, regulujących emisję i obrot banknotów, upadło w powszechnym głosowaniu z roku 1876. Aby dalsze w tej mierze zamiary rządu związkowego nie mogły spariżować, zawarło dwadzieścia cztery najpotężniejszych banków formal-

ny konkordat, gwarantujący publiczności wypłatę nie tylko banknotów ale i wszystkich weksli przez odnośne banki trasowanych. Mimo takiej gwarancji ze strony emitujących banków prywatnych, nie ustawała agitacja za ustawowym uregulowaniem warunków emisyjnych. Jednak dopiero w roku 1881 przyjęto odpowiednią ustawę, przyznającą radzie związkowej daleko idące prerogatywy oraz zaprowadzenie formalnego nadzoru państwowego przez biuro kontroli, mające na czele tak zwanego inspektora banków emisyjnych.

Dalszy krok zrobiono w r. 1891, gdy w głosowaniu narodowym przyjęto ustawę, zastrzegającą wyłącznie związkowi prawo wydawania banknotów.

Kapelusze.

Najnowszej mody kapelusze można dostać u naszego rodaka, Fr. Melin, 454 ul. Mitchell.

Odezwa do czytelników!

Aby dostarczyć czytelnikom polskim wszelkiego rodzaju i wieku materiału dla bibliotek domowych i brackich w poprawnym polskim języku i duchu katolickim; aby umożliwić również dzieciom jak starcom miłą zabawę w czytaniu i przyczynić cegiełkę do wielkiej budowy uczczenia naszej emigracji polskiej, wydajemy od 1-go Stycznia, 1899,

tygodnik powieściowy

"ŹRÓDŁO".

Tygodnik ten zawiera trzy doborowe powieści i nader cenne rozprawki, mające razem stanowić książkę 9x12z końcem roku.

Prenumerata roczna na "ŹRÓDŁO" i "KATOLIK" razem wynosić będzie... \$2.00
Prenumerata na sam tygodnik "ŹRÓDŁO"..... \$1.00
Prenumerata na sam tygodnik "KATOLIK"..... \$1.50

Tak pojedynczo jak i obydwa tygodniki płatne są corocznie lub półrocznie z góry za przekazem pocztowym lub czekami pod adresem wydawcy:

REV. W. GRUTZA,

Cor. Lincoln & First Aves., MILWAUKEE, WISCONSIN.

Uprasza się więc Szanownych Czytelników, aby po odebraniu numeru okazowego zawiadomili redakcję, czy chcą to piśmo prenumerować, gdyż dalsze numery takowego tylko tym pomyśleć będziemy, którzy je piśmiennie lub ustnie zamówili.

Stowarzyszenie Polaków w Ameryce

pod opieką św. Trójcy w Milwaukee, Wis.

Jedyną polsko-katolicką organizacją w Stanach Zjednoczonych z najpewniejszą kasą pośmiertną jest Stowarzyszenie Polaków w Ameryce. A więc chcecie Bracia Rodacy swe rodziny zabezpieczyć udajcie się do tej organizacji. Stowarzyszenie Polaków w Ameryce inkorporowane jest od pierwszej chwili jego założenia w roku 1895. Jest ono więc pod kontrolą asekuracyjnego komisarsza Stanu Wisconsin w Madison, do którego Sekretarz Gen. musi rok rocznie przysłać zaprzysiężone sprawozdanie z dochodu i rozchodu, z ubytku i przybytku członków i wszelkich czynności organizacji. Do Stowarzyszenia Pol. w Ameryce może najmniejsza i największe towarzystwo należeć. Pojedynczych członków nie

przyjmuje się. Koniecznie musi należeć do towarzystwa albo do grupy. Grupa złożona przynajmniej z trzech członków, może już przystąpić do Stow. Pol. w A.

gdy więcej ich nie ma na razie. Każde tow. lub grupa nowo wstępująca płaci \$5. wstępnego. Stowarzyszenie P. w. A. przyjmuje na członków od 18go do 50go roku wieku. Ubezpieczyć się można według upodobania to jest na \$450.00, \$600.00, \$750.00 i \$900.00 tak, iż może się ubezpieczyć najuboższy i najzamożniejszy. Wstępne i miesięczny podatek podług wieku w załączonej tabeli podane.

WIEK.	Od \$450.	Od \$600.	Od \$750.	Od \$900.	WIEK.
18	.77	.86	.95	1.04	18
19	.77	.86	.95	1.04	19
20	.77	.86	.95	1.04	20
21	.78	.87	.96	1.05	21
22	.78	.87	.96	1.05	22
23	.79	.88	.97	1.06	23
24	.79	.88	.97	1.06	24
25	.80	.89	.98	1.07	25
26	.80	.89	.98	1.07	26
27	.81	.90	.99	1.08	27
28	.81	.90	.99	1.08	28
29	.82	.91	1.00	1.09	29
30	.82	.91	1.00	1.09	30
31	.83	.92	1.01	1.10	31
32	.83	.92	1.01	1.10	32
33	.84	.93	1.02	1.11	33
34	.84	.93	1.02	1.11	34
35	.85	.94	1.03	1.12	35
36	.85	.94	1.03	1.12	36
37	.86	.95	1.04	1.13	37
38	.86	.95	1.04	1.13	38
39	.87	.96	1.05	1.14	39
40	.87	.96	1.05	1.14	40
41	.88	.97	1.06	1.15	41
42	.88	.97	1.06	1.15	42
43	.89	.98	1.07	1.16	43
44	.89	.98	1.07	1.16	44
45	.90	.99	1.08	1.17	45
46	.90	.99	1.08	1.17	46
47	.91	1.00	1.09	1.18	47
48	.91	1.00	1.09	1.18	48
49	.92	1.01	1.10	1.19	49
50	.92	1.01	1.10	1.19	50

Ubezpieczony na \$450.00, odbierze w czasie śmierci jego żony \$150.00
Ubezpieczony na 600.00, odbierze w czasie śmierci jego żony 200.00
Ubezpieczony na 750.00, odbierze w czasie śmierci jego żony 250.00
Ubezpieczony na 900.00, odbierze w czasie śmierci jego żony 300.00

Resztę pośmiertnego wypłaca Stowarzyszenie Pol. w A. po śmierci członka spadkobiercom lub spadkobiercy, przekazanemu w polisie członka. Wszystkie towarzystwa, które nie należą do Stowarzyszenia dla ważnych przyczyn i nie mogą in corpore wstąpić, mogą utworzyć grupę pod tem samem imieniem tegoż Tow. i częściowo należeć, czyli swerodzinny ubezpieczyć na wypadek śmierci a tow. może istnieć jak istniało. Tacy, którzy jeszcze wcale nie należeli lub nie należą do Towarzystwa, mogą organizować grupy celem wstąpienia do Stowarzyszenia Pol. w Ameryce i ubezpieczenia swych rodzin. Stowarzyszenie Pol. w Am. wypłaca po zawiadomieniu o wypadku śmierci \$50.00 na pokrycie kosztów pogrzebowych, w 10-ciu dniach w razie śmierci tak żony jak męża.

Po wszelkie informacje prosimy zgłaszać się do sekretarza generalnego pod adresem:

IGNACY GÓRSKI, 728 7ma ave., Milwaukee, Wis.

Zarząd Centralny Stowarzyszenia Polaków w Ameryce:

Stefan Czaplarski, prezydent; Emil Czamecki, vice-prez.; Ignacy Górski, jen. sekr. Jakób Leszczyński, skarbnik; Franciszek Kocja, I. radny; Franciszek Róża, II. radny; Feliks Skrentny, III. radny; Ks. Maksymilian Dorszyński, radca duchowny; Dr. K. Wagner, lekarz naczelny.

Po najlepsze i najnowszej mody

* FOTOGRAFIE *

....IDŹCIE DO....

fotografisty, N. L. STEIN,
452 ul. Mitchell, nar. 2giej Ave.

Powieść bez tytułu.

Przez J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wstał z krzesła Szarski i pospiesznie opuścił miejsce swoje i tak się rozstał szybko; ale książę niespokojny pożegnał akademika, bojąc się, by ta próba spełniła na niczem, a rozgłoszona. Nie naraziła go na śmiech. Stanisław jednak słowa o tem nie rzekł nikomu, czując się obowiązany do milczenia, jak się czuł w konciezności nieprzyjęcia propozycji, której podjąć się nie dawało sumienie. W parę dni potem spotyka koło Kardynalii Bazylewicza, który leciał z ogromną furą ksiąg pod pachą, niezmiernie niby zajęty i roztargniony wedle zwyczaju, z głową zadartą, ustami wydytymi, oczyma do góry. Na widok Szarskiego zatrzymał się mimo pośpiechu, z jakim leciał.

— A! to ty mój sławny poeto! rzekł. Cóż? słyszysz, że już drukujesz sam jeden?

— Powoli, po trosze...

— A ja! cha! cha!... nie wiesz awantury! zawołał poczynając śmiać się sucho i dziwnie przmuszonym głosem. Wystaw sobie, jaka mi się doskonala trafiła gratka. Książę Jan zażądał mieć rys genealogiczno-historyczno-apologetyczny swej godnej rodziny, wezwał więc mnie i pióro moje, abyśmy mu wypracowali panegiryk, który książę kosztem swoim drukować będzie. A! a! coż mi to szkodzi, że głupi! Biorę za to tysiąc złotych, a takich mu nufunduję panegiryków, że się nimi nakarmi na całe życie i stanie ich nawet dla potomków jego.

— Ale mój drogi, rzekł Stanisław, będziesz więc pisał przeciwko prawdzie, przeciw przekonaniu twojemu, przeciw dziejom, a pozwól sobie szczerzej powiedzieć, przeciw sumieniu.

— Dziecinstwo! odparł Bazylewicz. Któż nie wie, że książę sam dyktuje mi, co mam pisać?... Zresztą, korzystam z jego próżności i sam się pierwszy z dutka śmieję.

— Ale czyż się to godzi? wykrzyknął Szarski. — Och! purytaninie! a jakżeby inaczej potrafił wyciągnąć z jego kieszeni te błogosławione tysiące złotych?

— Ale gdyby nie tysiąc, gdyby sto tysięcy — oburzył się akademik, przecieżyłbym się na sprzedanego chwalec nie najął.

— A najmujesz gębę, dając lekcye! sprzedajesz czas swój Żydom! niby to co innego?

— Czystsze to, rzekł Stanisław — praca, czas, nauka moja sprzedana za kawałek chleba, ale nie przekonanie i prawda! Wiesz, że cię w tem nie poznaję! dodał smutnie.

— A ja ci powiadam fanatyku, że będziesz chodził bez butów. Cha! cha! Zebys był wiedział jeszcze, jak mu podbijam bębenka, jakem go przedziwnie wywoździł w pole, aż mi się... wyspowiadał ze wszystkich arystokratycznych swych pojęć i dał poznać ducha, w jakim mam mu napisać historję jego domu. Komedya to była! powiadam ci, najprzedziwniejsza scena do dramatu lub romansu.... Kiedyś to umieszczę w pamiętnikach moich.

— Na Boga! zawołał Staś: ale ty to bierzesz tak daleko, tak jakoś dziwnie, że ja tego pojąć nie mogę.

— I nigdy nie pojmesz, rzekł dumnie Bazylewicz. Tyś jeden z tych ludzi, którym pozostaje tylko chyba osiąść w klasztorze, bo na świecie, gdzie nie tyle potrzeba talentu, co umiejętności rządzenia się, nie potrafisz sobie dać rady. Bywaj zdrow! Idę do biblioteki oddać Niesieckiego, a wzięć w zamian Strykowskiego i Bielskiego. Trafiłem też szczęśliwie na kilka starych kazań pogrzebowych, którymi moich książąt maluję jak chęć; za tydzień robota będzie gotowa i tysiąc złotych w kieszeni! To coś warto!... Nic nie zrobi kto z głupstw ludzkich korzysta nie umie.

To mówiąc, świsnął, rozśmiał się i odszedł.

Ukazały się nareszcie i poezye Stanisława, na których wielkie pokładał nadzieje, dopóki nie przeczytał ich jednym tchem po wydrukowaniu, pojął się tem dziwnem wrażeniem, jakie czyni na każdym

początkującym widok własnej myśli w tej nowej szacie. Czy to, że się znużył poprawianiem nieznośnej korekty, czy że w istocie ideałowi poety nigdy to, co stwarza, wystarczyć i zrównać nie potrafi — doś, że Stanisław dopiero teraz z rozpaczą poczuł, iż te młodziecze kwiatki nie miały owej woni, barwy i mocy, jaką w nich niegdyś upatrywał. Spuścił głowę smutnie i oczekiwał wyroku.

Gdzie się pokazał, mówiono mu o jego poezyach, bo w tym czasie Wilno nie tylko czytało wiele, ale się zajmowało silnie każdem nowo wychodzącym dziełem. Młodzi i starzy robierali, komentowali, krytykowali, trawestowali, sztydziłi, ale w tem wszystkim, nawet w gwałtownej opozycji, były dowody życia.

Powtarzano co chwila biednemu poecie, co ktoś o nim gdzieś powiedział, co znaleziono w tym wierszu, co zdawało się brakującym w drugim; ale niestety! te krytyki, zebrane w jedno, zupełnie przypominały bajkę Lafontaine'a o młynarzu, synu jego i osle. Nie podobano się jednemu co wychwał drugi, krytykował ktoś ustep, za najlepszy uważany przez innych. Stanowisko każdego sędziego odbijało doskonale jego usposobienie, wiek, wykształcenie i służyło raczej do poznawania indywiduów, niżeli do objaśnienia o wartości utworu. Kobiety chwalały, co płakało, wdychało i przemawiało do serca rzewnością, lub dźwięczało muryką słowami, której często dosyć, by poezya chwyciła za serce przez uszy; ale jeśli z piersi rozdarłoby się sarkazm, sztyderstwo, boleść, co zapomnia, że jej słuchać mogą, silnie, potężnie, gorąco... odwracały się główki z przestachem i zdawały się nie pojmując stanu duszy, który ten wykrzyk straszliwy malował. Dla jednych z nich brakło poezyom tym formy potężniejszej i przystępnej, dla drugich, co lubiły tylko to, czego nie rozumiały, śpiewy były za jasne jeszcze i płynęły zbyt poźmiomo.

Młodzi powtarzała utamki, dobierając je każdy do barwy swej duszy... wesela, smutki, zadumy. W ogólności, jako tłumacz uczuć wlaściwych temu wiekowi, Stanisław silnie przemawiał do niej niż

do innych. Starzy niecierpiwili się nieustannie w tych pieśniach powracającą miłością, rozczuleniem, rozpaczą, wreszcie formą swobodną, do której ich dawny klasycyzm nie przyzwyczaił.

Szaleni znowu ekscentrycy, którzy przyłgnęli do zżółk, romantyczna jeszcze zwanej naówczas, dla których charakter stanowiła dopiero przesada, a karykatura była siłą, mieli to za mdłe, co było prawdziwe, bo niewyszukane i proste. Olbrzymi tych ludzi musieli występować na szczydach; nie pojmowali wielkiej myśli w maluczkim słowie.

Bazylewicz raz, wsiadłszy na Goethego pogadankę o poezyi "szpitalnej", wciąż jeździł na niej i wywijał gdzie mógł swoim konceptem, zarzucając Szarskiemu płaczliwy egoizm i byronowskość. Wedle niego winien był, że rana jego tak czerwoną, tak rumianą krwią płynęła, jak inne rany; czemu nie zieloną?

Nie mówię już o Iglickim, któremu książka nowa, nieprotegowana przez nikogo, bezbronna, młoda, była najsmaczniejszym kąskiem. Ostrzył na nią zęby od dawna i jeszcze mokra przetrzewiwszy zaledwie, złapałszy w niej kilka urykowych myśli, które wyszarpięte z całości dziwnie się w istocie wydawały — zabójczą rozpoczął recenzję, w której sztyderstwa, konceptu i pogardy nie szczędził. Zawsze skryty nieprzyjaciół nowej szkoły, która mu wydawała nadzieję laurów obfitych i osadziła na kulawym stołku krytyki, mścił się na tej biednej książeczce za wszystko, co uciepiał od tych, których ona głosu była odbiciem lub przedłużeniem.

A że mu się Stanisław nie przyszedł pokłonić, że nie szukał jego protekcyi, więc tem nielitościwiej postanowił się znać nad biedakiem, którego pewien był, że się nikt nie bronił nie ośmieli.

Obok tych krytyk stawały jeszcze inne czysto osobistymi powodami wywołane: jednym nie podobano się poezye dla tego, że autor ich był młodym; drugim dla tego, że się im nie kłaniał; innym, że u nich nie był; innym jeszcze, że się im zdało, jakoby był zarozumiałym, bo się przed cudzem zdaniem nigdy nie kłaniał, nie spojrzawszy wprzód, czy ono pokłonu było warte.

C. d. n.